

Renata Piątkowska

WIELORYB



ilustracje Marcin Bruchnalski



Julka

Ja zawsze byłam duża. Nie pamiętam już, kiedy po raz pierwszy usłyszałam, że wyglądam jak wieloryb, ale chyba popłakałam sobie wtedy troszkę. Za to moja babcia zawsze powtarza, że zdrowe dziecko, to grube dziecko, a jej ukochana wnusia, czyli ja, nie może być chuda jak szczapa. Dlatego codziennie stawia przede mną pełne po brzegi talerze. Sama nie wiem, co jest lepsze, te pyszne zupy czy kotleciki, roladki w gęstym sosie czy pierogi, a może słodkie naleśniki lub cytrynowy torcik? Jedno jest pewne, babcia gotuje najlepiej na świecie i nikt, nawet moja mama, nie może jej przekonać, że jeśli będę tyle jadła, to niedługo stanę się większa od babci, od mamy, a nawet od taty.

– Dajcie spokój! Julcia jest po prostu słusznego wzrostu i zdrowo wygląda. Poza tym ona ciągle jeszcze rośnie, więc musi dużo jeść – mawia babcia i patrzy na mnie z troską, czy aby na pewno jestem coraz większa.

A jest na co popatrzeć. Bo ja mam błyszczące, rumiane policzki i duży, mięciutki brzuch. Mam też strasznie silne zęby, potrafię nimi w okamgnieniu odgryźć od ubrania jakiś ładny guzik. Takich ślicznych guzików zbierałam już całą szuflad-

kę. No i nie znam drugiej dziewczynki, która mogłaby nosić buty swojej mamy, a ja mogę. Jestem też najlepsza w przeciąganiu liny i wszystkich w klasie kładę na rękę. Do tego umiem grać na flecie i zjadam sześć pączków za jednym zamachem.

Ale i tak zawsze zazdrościłam Marcie, która mieszka tuż obok. Bo Marta jest o połowę mniejsza ode mnie i na zawołanie robi różne gwiazdy i fikołki. Nikt jej nie nazywa wielorybem i ma sweterek w moim ulubionym, pomarańczowym kolorze. Ten sweterek tak mi się spodobał, że babcia kupiła mi taki sam, ale mój nie dopina się na brzuchu.

No i Marta ma rodzeństwo, co prawda to tylko brat, ale zawsze coś. A ja nie mam nikogo. Mama nie chce się zgodzić ani na psa, ani na kota, ani nawet na świnkę morską. Na szczęście zawsze mogę przytulić się do mięciutkiego, pluszowego misia. Tak naprawdę to nie jest taki zwyczajny miś. Lubię myśleć, że on wszystko widzi, słyszy i rozumie. Dlatego, jak jest mi smutno, opowiadam mu o złośliwym Witku, który nazywa mnie wielorybem,

o tych wszystkich szeptach i chichotach, które słyszę za plecami, o za ciasnym sweterku i o tym, że nie umiem fiknąć kozła. A miś mi nadstawia puszyste uszko, kiwa brązową głową i pociesza mnie, jak umie.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Juleczko?
– pyta cichutko. – Czy miałabyś ochotę zobaczyć krasnoludka? Chcesz, żebym jakiegoś



zawołał? Czy mam ci przynieść w prezencie latający dywan? Złotą rybkę? Wybieraj. A może wolisz znaleźć w ogródku jakiś skarb? Proszę bardzo. A nie ucieszyłby cię bardziej worek galaretki w czekoladzie? Pudło ptasiego mlecza? Strój królowny? Wystarczy jedno twoje słowo. A co byś powiedziała, gdyby temu przebrzydłemu Witkowi wypadły wszystkie zęby? Albo wyrosły ośle uszy? Kosmaty ogon? Rogi?

Z tego wszystkiego zawsze wybieram coś paskudnego dla Witka. Jak wyobrażam go sobie bez zębów, z wielkimi uszami, z rogami i ogonem – to chce mi się śmiać i od razu robi mi się lżej.



Hulajnoga

Jestem pewna, że jak w końcu dostanę hulajnogę, najlepiej taką całą pomarańczową, to już nigdy nie będę się nudzić i narzekać. No bo na hulajnodze można pędzić tak szybko, że aż wiatr w uszach dzwoni i włosy pięknie powiewają. Fajnie jest też przelecieć przez kałużę, rozpryskując błoto na wszystkie strony, a potem długo



znaczyć esy-floresy na asfaltowej ścieżce. Niektóre hulajnogi mają nawet na kierownicy malutki dzwonek. Obok takiego dzwonka dobrze jest powiesić sobie coś pysznego do picia. A jak się już wypije i przekąsi co nieco, to można taką hulajnogę wziąć pod pachę i ponieść kawałek, zwłaszcza gdy jest pod górkę. A poza tym „hulajnoga” to bardzo fajne słówko i jak ktoś mówi: „Idę pojeździć na hulajnodze”, to od razu wiadomo, że jedna noga nieźle sobie pohula.

O tym wszystkim opowiedziałam Basi, bo to moja koleżanka i siedzimy w jednej ławce, a jak pani każe nam ustawić się w pary, to Basia zawsze staje obok mnie.

– Eee tam, na hulajnodze będziesz musiała jeździć w kaszku. A wtedy kucyki ci oklapną i będziesz głupio wyglądała – stwierdziła Basia.

– Nieprawda! – zdenerwowałam się.

– Właśnie że prawda. I grzywka też ci się rozpląszczy – upierała się Basia.

– No a jak pojedziesz za daleko, to się zgubisz – powiedział Franek, który chyba nas podsłuchiwał. – I kiedy policjanci cię w końcu znajdą, to dostaniesz mandat – dodał zadowolony.

– Wcale nie! Nie zgubię się i nie dostanę żadnego mandatu! – Byłam zła jak osa. – I w ogóle odczepcie się od mojej hulajnogi! – wrzasnęłam.

– Julka, a po co tobie hulajnoga, przecież i tak nie będziesz mogła na niej jeździć – wtrącił się Witek.

– Niby czemu? – warknęłam.

– Bo wieloryby nie mają nóg, więc czym będziesz się odpychała? No chyba że płetwą, ale w takim razie musisz sobie kupić hulajpłetwę! – Witek śmiał się jak głupi.

Pokazałam mu język i odwróciłam się na pięcie, ale w tej samej chwili odechciało mi się tej całej hulajnogi. A w domu powiedziałam mamie, że wolałabym jednak dostać rower, najlepiej cały pomarańczowy.

– Dobrze, Julciu, dobrze. – Mama pokiwała głową, ale nie zapytała dlaczego.

Za to misiu chciał wiedzieć wszystko dokładnie. Opowiedziałam mu więc po kolei o hulajnodze, o kasku, rozplaszczonej grzywce, o mandacie i wrednym Witku, no i na koniec o wielorybie i hulajpłetwie. Miś, który jak zwykle wylegiwał się na poduszce, machnął łapką i mruknął pod nosem:

– Nic się nie przejmuj, Juleczko. A jeśli naprawdę chcesz sobie pohulać, to mam dla ciebie coś dużo lepszego niż wszystkie hulajnogi i rowery razem wzięte.

– Co to takiego? – spytałam.

Miś spojrzał na otwarte okno i tańczącą na wietrze frankę.

– Chodź, polatamy sobie troszkę – powiedział.

Zerwałam się na równe nogi, choć jeszcze przed chwilą byłam śpiąca i leżałam w łóżku, nakryta po sam czubek nosa. Miś nic więcej nie tłumaczył, tylko klasnął w łapki i pod okno podpłynęła całkiem spora, biała chmura. Mój niedźwiadek usadowił się na niej wygodnie, a ja przycup-

nęłam tuż obok. Chmura wyglądała zupełnie jak wielka poduszka i sunęła po niebie kołysząc się leciutko. Unosiliśmy się coraz wyżej i wyżej. Moja nocna koszula łopotała na wietrze, a wokół świeciło całe mnóstwo gwiazd. One tylko z daleka wyglądają jak malutkie kropeczki, z bliska są duże i grube jak ja. Dlatego pomachałam im i posłałam całuski. Potem chmurka zaniósła nas z powrotem nad miasto. Gwiazdki znowu zrobiły się wielkości moich piegów, za to domy i ulice wydawały się wielkie i tajemnicze. Może dlatego, że



noc była ciemna i tylko trochę ochlapana światłem żółtych latarni. Zobaczyłam z góry nasz dom i ogród, szkołę, park i jeziorko. Właśnie przelatywaliśmy nad jakąś wysoką wieżą, gdy usłyszałam głośne: „trrrrach!”. To nocna koszula zaczepiła o spiczasty wierzchołek. Ale kto by się tam przejmował?

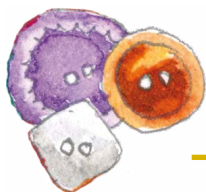


wał podartą koszulą? Najważniejsze, że mogłam sobie latać nocą po niebie i nie musiałam mieć na głowie kasku, włosy pięknie mi powiewały, a grzywka się nie rozpląszczyła.

Sama nie wiem, jak i kiedy trafiłam z powrotem do łóżka. W każdym razie rano, gdy wstałam, okno było zamknięte, a na niebie ani jednej chmurki. No tak, to był tylko sen – pomyślałam z żalem. Jasne, przecież mnie nie uniosłaby żadna chmura.

– Zaraz, zaraz, ale dlaczego moja nocna koszula jest podarta? – spojrzałam zdziwiona na misia.

Ale on tylko uśmiechnął się pod nosem i odwrócił na drugi bok.



Balon

Taki koń to ma dobrze. Po pierwsze, ma aż cztery nogi, więc wszędzie zdąży na czas i nie musi ciągle myć rąk. A po drugie, ma do jedzenia całe kopy siana, wory owsa i pachnące trawką łąki. Nie musi czekać, aż babcia zrobi mu kanapki. Wystarczy, że schyli głowę, a już skubie sobie różne pyszności i nikt mu potem nie mówi, że ma za duży brzuch. A jak kogoś nie lubi, to go kopnie albo ugryzie, i nie idzie za karę do kąta, ani nie wyłączają mu dobranocki.

Czasem myślę, że chciałabym być koniem.

– Julciu, może pojedziemy do stadniny? Mogłabyś sięść na konika, poruszać się trochę na świeżym powietrzu – powiedziała mama, zupełnie jakby wiedziała, o czym myślę, co mnie nie dziwiło, bo mamy już tak mają.



Oczywiście, że chciałam jechać do stadniny, zabrałam nawet ze sobą torbę marchewek i cukier w kostkach – trochę z myślą o koniu, a trochę o sobie. Cukier zjadłam zanim jeszcze dojechaliśmy na miejsce, ale marchewką podzieliłam się ze ślicznym, łaciatym kucykiem o imieniu Balon, który czekał na mnie przed stajnią. Jego imię musiało mieć coś wspólnego z wielkim, włochatym brzuchem, który kołysał się miarowo, gdy Balon przestępował z nogi na nogę. Ten tłusciutki, łaciaty brzuch podobał mi się w Balonie najbardziej, bo przypominał mi, że mamy ze sobą coś wspólnego. Kucyk łypnął na mnie spod grzywki, ale nawet jeśli ucieszyło go, że mamy podobne brzuchy, to nie dał tego po sobie poznać.

Chwilę trwało, zanim trener, mama i babcia wsadzili mnie na koński grzbiet. Kiedy już siedziałam w siodle, wepchnęłam nogi w strzemiona, złapałam Balona za grzywę i zawołałam:

– Wio!!!

Koń zebrał się w sobie i zarżał.

– Mam nadzieję, że jakoś wytrzyma – powiedział trener.